

Bogdan Rogatko

Wojciech Ligęza

Anna Pekaniec

Paulina

Małochleb

Podróż w nieznane

Jan Józef Szczepański

Dziennik, tom II. **1957–1965**

Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011

Rok 1956 – okres rozpoczynającej się „odwilży” i tzw. przełomu październikowego, który zaowocował festiwalem literackich i artystycznych osiągnięć, na trwale wpisujących się w dorobek nie tylko polskiej kultury – i dla Szczepańskiego okazał się pomyślny. Nieco wcześniej, po kilku latach bojów z cenzurą, wydano *Polską jesień*, a potem zbiór opowiadań – wcześniej publikowanych tylko w czasopiśmie – *Buty i inne opowiadania*. Mimo to, a może właśnie dlatego pod koniec tego roku – zamykającego decyzją edytorów pierwszy tom wydanego przed dwoma laty *Dziennika* – pisarz zanotował taką oto refleksję: „[...] Zaczynam się obawiać, że mój prawdziwie twórczy okres dobiega końca. Pewnie napiszę jeszcze niejedną książkę, ale czas dotkliwego czucia i niepokoju, czas mówienia rzeczy istotnych nie trwa długo. Tymczasem ja jeszcze nie zrobiłem niczego, co mogłoby uchodzić za wypełnienie nakazów tego czasu. [...] Jeszcze resztki dawnych zapasów do upłynnienia – i co dalej?”

Otóż dalej „ociosywał własny charakter” w systematycznie prowadzonym dzienniku, który stawał się coraz bogatszy we wrażenia i przemyślenia z racji licznych, odbywanych w latach 1957–1963

podróży – w poszukiwaniu nowej perspektywy dla swojej twórczości. Dziennik, rozpoczęty z zamiarem nadania swemu życiu poczucia odpowiedzialności, miał być teraz dla jego twórczości punktem wyjścia, punktem odbicia. Nic więc dziwnego, że refleksję o swym pisarstwie rozpoczął od sposobu prowadzenia dziennika – jak zwykle autokrytycznie, zestawiając go z dziennikiem Gombrowicza: „Właściwie pisząc, wstydzę się siebie, próbuję być inteligentniejszym niż jestem, staję na palcach i dlatego stoję niepewnie. Gombrowicz posiadał wielki sekret: eksploatuje własne niedoskonałości, nieustannie demaskuje siebie i w ten sposób przewyżcza. [...] I uważa swoją osobę za rzecz ciekawszą i cenniejszą niż swoją literaturę. On nie służy literaturze, on nad nią panuje i nią się bawi. Bardzo płodny stosunek”. Gombrowicz i Szczepański – istotnie, trudno o bardziej różnych pisarzy. Czy więc autor *Polskiej jesieni* mógł czegokolwiek nauczyć się od Gombrowicza?

W latach poprzednich, ujętych w pierwszym tomie *Dziennika*, poszukiwał formuły określającej istotę pisarstwa i znajdował ją u Conrada. Oznaczało to opisywanie rzeczywistości osobiście doznawanej i przeżywanej, bez żadnych nacisków, moralnych i politycznych, ale i bez ozdobników – opisywanie oszczędne, czytelne i sugestywne. W drugim tomie cechom swojego pisarstwa, jego – zdaniem Szczepańskiego – niedoskonałościom, trudnościom w przekazaniu tego, co widzi, poświęcał wiele uwagi. Miewał chwile całkowitego zwątpienia w swoje umiejętności, nawet w sens uprawianej przez siebie sztuki pisarskiej. Przerażony był własną „jałowością”, brakiem skupienia,

które „pozwała dostrzec rzeczy w postaci uogólnionej, wyzbytej dosłowności”, brakiem dystansu do siebie samego, który dostrzegał zarówno w swej prozie, jak i w dzienniku. Problemem były dla niego zakończenia opowiadań – bał się ich, odwlekał, w przeświadczeniu, że nie powiedział wszystkiego, że nie przekazał tego, co chciał, i w taki sposób, jak chciał.

Dręczyło go przekonanie o swojej „oschłości”. W tym kontekście czytał i oceniał innych. Lektura dzienników Gombrowicza skłaniała go do myśli o „jakimś rozluźnieniu tematycznym”. Jednocześnie podziwiał Herlinga-Grudzińskiego – jako autora *Innego świata* – za umiejętność dotarcia do „najciemniejszej ciemności naszych czasów”, Kafkę za „artystyczny heroizm”, który nie jest mu dany; chciałby też umieć pisać jak młodzi Amerykanie, którzy nawet gdy nie mają wiele do powiedzenia, potrafią w kilku zdaniach zarysować sytuację i oddać sugestywnie atmosferę. Bardzo wysoko cenił Tadeusza Różewicza, którego *Próbkę rekonstrukcji* – przeczytaną w „Przeglądzie Kulturalnym” w roku 1959 – uważał za „najlepszy kawałek prozy polskiej po wojnie”; cenił też wysoko brata pisarza, reżysera filmowego, z którym współpracował przy kilku filmach. Ale chyba najwnikliwiej przyczynę „nie-dostatków” swego pisarstwa ujął w jakże celnej refleksji, zanotowanej na marginesie lektury *Doliny Issy*: „Równie aromatycznej książki dawno nie miałem w ręku. Czuję, że nigdy nie potrafię tak pisać, bo nigdy nie kochałem tak mocno mojego dzieciństwa, świata, ludzi. Jak się nie kocha dość mocno, wspomnienia wędną”. Ta kwestia nurtowała go od dawna. W poprzednim

tomie dziennika zastanawiał się, czy „nie przeżyć w życiu żadnej wielkiej namiętności jest naprawdę stratą”.

W pokonaniu pisarskiego kryzysu pomogła mu sytuacja polityczna w kraju. Jedną z październikowych zdobyczy było niewątpliwie otwarcie się na Zachód, na świat. Stworzono możliwości wyjazdów stypendialnych, między innymi dla twórców; stworzono też możliwość podróży statkami handlowymi, choć wymagało to niemałych zabiegów, przełamywania urzędniczej inercji i wyniesionych z lat stalinowskich niechęci do udzielania wiz.

W ciągu tych lat, które obejmuje tom drugi *Dziennika*, Szczepański odbył kilka długich i dalekich podróży. Poza wyjazdami na zachód Europy był na stypendium w Harvardzie, a dzięki środkom z Fundacji Forda zwiedził Nowy Jork, w roku następnym popłynął statkiem „Bałtyk” z wyprawą na Spitsbergen, następnie zaś na pokładzie statku „Ojców” podróżował przez blisko pół roku po Europie Północnej i Południowej oraz po Azji i Afryce. We wrześniu 1963 roku rozpoczął może najbardziej malowniczą podróż statkiem „Oleśnica”, choć w warunkach o wiele mniej komfortowych niż na pokładzie wygodnego i dużego „Ojcowa”, do Afryki Południowej.

Owocem tych dalekich i egzotycznych wypraw były książki reporterskie, które rodziły się na pokładach statków. Dziennik pokładowy, by tak rzec, przekształcał się nieraz w literacką materię. Już w pierwszej książce reportażowej, *Zatoce Białych Niedźwiedzi*, starał się – jak notował: „odzyskać dawne zdziwienie światem”, światem dopiero poznawanym, ale nadal pełnym

tajemnic. Spotkania z innymi ludźmi, różnych ras i narodowości, przede wszystkim spotkania z naturą, w całej jej wspaniałości i bogactwie, napełniały pisarza niespotykaną dotąd radością, pozwalały „poczuć życie namacalnie”. Chyba po raz pierwszy sportretował tak żywiłowo, i bezpośrednio, kobietę, jak to uczynił podczas podróży „Flandrią” z grupą stypendystów, wybierającą się na Harvard: „Devaki – to jest najbardziej wzruszające przeżycie z tej podróży. Chociaż wstydzę się takich określeń, nie potrafię znaleźć nic prawdziwszego niż to, że tak powinno wyglądać stworzenie boże. [...] Radość, jaką daje samo patrzenie na nią, ma w sobie coś z kontemplacji pięknego krajobrazu. [...] W swoich bajecznie kolorowych sari, czarnych szalach w drobniutkie kwiatki, z kolczykiem w kształcie kwiatu w lewym nozdrzu i szkarłatną plamką proszku sandałowego między brwiami wygląda jak małeńka królowa z radżpuckiej miniatury”.

Dziennik pokładowy, żeby trzymać się już tego określenia, utkany jest dość gęsto z pięknych, malarskich wręcz opisów przyrody. Nic tu z przypisywanej sobie oschłości, pryska nastroj przygnębienia, pisarz zapomina przynajmniej na mgnienie oka, na chwile zachwyty, o warsztatowych kłopotach. Sztuka – wyznaje Szczepański – jest bezsilna wobec piękna natury; ale sam przecież temu zaprzecza, gdy udaje mu się ująć to piękno w słowa. Choćby taki, wart dłuższego przytoczenia, opis gór wyrastających z wody, oglądanych ze Spitsbergenu: „Słońce odbite od lodowych i śnieżnych zboczy wokół zatoki praży nasz cypel, osłonięty jak reflektorem szaro-żółtą

ścianą Sofiekammet. Ściana ta jest siedzibą tysięcy ptaków i huczy gwarem, przypominającym zmieszane szczekania, głosy ludzkie, wrzask kurnika. Woda w zatoce (odpływ) gładka i błyszcząca, przysypana biało-zieloną krą. Przed chwilą na środku zatoki rozpadła się z ogromnym trzaskiem wielka góra lodowa. Co jakiś czas słychać pęknięcie lodowców i echa lawin. Naprzeciw mnie ogromny, postrzępiony Hornsundtind o sylwetce alpejskiego czy nawet himalajskiego szczytu”. Malowana przez Szczepańskiego natura spełniała rolę metafizycznego tła dla poczynań człowieka, wypełniała pisarzowi pustkę, którą chwilami odczuwał, gdy tracił wiarę w istnienie Boga.

Podróże pozwoliły Szczepańskiemu nie tylko wydobyć nową nutę w swej twórczości, ale umożliwiły mu przede wszystkim powrót do ujmowania rzeczywistości w jej gęstości i niewymierności, opartej – co dla tego pisarza było fundamentalne – na osobistym doświadczeniu, osobistym udziale w opisywanych wydarzeniach. Spełniały one też w jakimś stopniu rolę terapeutyczną, stanowiły ucieczkę od „posiekanego czasu”, od prozy dnia codziennego, ale przede wszystkim od życia codziennego w PRL-u, którego absurdy przekraczały granice literackiej groteski, które było niczym innym, jak „zasmucającym, obrzydliwym dziadostwem”. Trudno dobitniej scharakteryzować tę epokę.

Jak już wyżej zaznaczyłem, Szczepański – mimo że przełom październikowy uutorował i jemu drogę do czytelników – miał do tych przemian stosunek sceptyczny; nie wierzył w trwałość dokonujących się w życiu polityczno-społecznym

i kulturalnym zmian. Lata następne potwierdzały jego przewidywania. Już w roku 1957 pisał o dokręcaniu śruby, komentując na przykład artykuły Stefana Żółkiewskiego w „Polityce”, działania cenzury w stosunku do swoich tekstów drukowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego”, niemożność pisania wprost o wydarzeniach z niedawnej historii czy obłądne, nie mające nic wspólnego nawet z logiką, działania cenzury w filmie. Od Wschodu wiało coraz mroźniej. A życie w Polsce Ludowej toczyło się swoim zwykłym w swej karykaturalności trybem. Notowane po powrotach do Polski z zagranicznych podróży obrazki obyczajowe przygnębiają swą brzydotą. „Ciemny rynek z kiwającymi się cieniami pijaków. Taka Polska ze złego snu, ale niestety najprawdziwsza”.

Polska z wysokiej fali październikowego entuzjazmu chyliła się ku zgrzeb-nemu socjalizmowi. Zaczynał się okres małej stabilizacji, w literaturze okres tzw. małego realizmu. Szły lata coraz bardziej ponure. W życiu oficjalnym przykrawano człowieczeństwo „do jego minimalistycznej, społecznej i produkcyjnie funkcjonalnej koncepcji”. Trudno się więc dziwić awersji Szczepańskiego do instytucjonalizacji życia kulturalnego, którego dobitnym dla niego przykładem była atmosfera w Związku Literatów Polskich. Sprzeciwiać się temu wszystkiemu, tej małości i nijakości, „oto sens i nakaz wszelkiej twórczości, ale jakże to trudne” – konstatował pisarz. W latach kolejnych, które obejmą następne tomy *Dziennika*, pozostanie tej dewizie artystycznej wierny.

Bogdan Rogatko